



MARCEL PROUST

**Sodoma i Gomora,
część pierwsza**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Sodoma i Gomora

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

CZEŚĆ PIERWSZA

*Kobieta będzie miała Gomorę,
a mężczyzna Sodomę.*

Alfred de Vigny

PIERWSZE ZJAWIENIE SIĘ MĘŻCZYZNO-KOBIET, POTOMKÓW TYCH MIESZKAŃCÓW SODOMY, KTÓRYCH OSZCZĘDZIŁ OGIEŃ NIEBIESKI

Wspomniałem, że znacznie wcześniej, niż udałem się owego dnia (dnia, w którym miał się odbyć wieczór u księżnej Marii) do księstwa Błajejów, którą to wizytę opowiedziałem przed chwilą, czatowałem na ich powrót i żem uczynił podczas swoich czatów odkrycie dotyczące specjalnie pana de Charlus, ale tak ważne samo w sobie, że dotąd odkładałem jego opis, aż do chwili kiedy mogę mu zapewnić dosyć miejsca i przestrzeni. Opuściłem, jak wspomniałem, cudowny i tak szczęśliwie obrany na szczycie domu punkt obserwacyjny, skąd oko obejmuje kapryśne stoki wiodące je aż do pałacu Bréquigny, z włoska wesoło strojne różową kampaniłą remizy margrabiego de Frécourt. Kiedym sądził, że księstwo Błajejowie już za chwilę będą wracali, uznałem za praktyczniejsze ulokować się na schodach. Żałowałem trochę swojego pobytu na wysokościach. Ale o tej porze — było już po śniadaniu — żal mój miał mniej racyj, bo nie byłbym widział — jak widziałem rano — mikroskopijnych figurek, jakimi stawali się na odległość lokaje z pałacu Bréquigny, wstępujący powoli po stromym zboczu z piórkiem do okurzenia w ręce, między szerokimi przezroczystymi płatami miki, tak przyjemnie odcinającymi się na czerwonych blankach.

W braku pola do kontemplacji geologicznych przetrzuciłem się na kontemplacje botaniczne; poprzez okiennice patrzyłem na drzewko księżnej i na jej szacowną roślinę, wystawiane na dziedzińcu z tą samą wytrzymałością, z jaką się oprowadza panny na wydaniu, i zadawałem sobie pytanie, czy nieprawdopodobny owad zjawi się opatrnościowym trafem, aby odwiedzić gotowy na jego przyjęcie samotny słupek. Ciekawość ośmielała mnie trochę; zeszedłem aż na parter, do okna również otwartego, z okiennicami zamkniętymi tylko do połowy. Słyszałem wyraźnie gotującego się do wyjścia Jupiena, który nie mógł mnie dojrzeć przez storę, za którą stałem nieruchomy. Naraz cofnąłem się gwałtownie z obawy, aby mnie nie zobaczył pan de Charlus, który, idąc do pani de Villeparisis, mijał wolno dziedziniec; z brzuszkami, postarzały w świetle dziennym, szpakowaty. Trzeba było niedyspozycji pani de Villeparisis (następstwo choroby margrabiego de Fierbois, z którym baron osobiście był śmiertelnie poróżniony), aby pan de Charlus — może pierwszy raz od czasu swego istnienia — zdecydował się na wizytę o tej godzinie. Właściwością Guermantów było, że zamiast się stosować do światowego życia zmieniali je wedle swoich osobistych nawyków (nie światowych, jak sądzili, tym samym godnych, aby im ustępowała owa rzecz bez znaczenia — światowość). Tak na przykład pani de Marsantes nie miała „dnia”, ale była co rano dla swoich przyjaciółek w domu od dziesiątej do południa; baron, zachowując ranek na lekturę, na szperanie po antykwarzach itd., nie składał nigdy wizyt wcześniej niż między czwartą a szóstą po południu. O szóstej siedł do klubu albo na spacer do Lasku.

Po chwili cofnąłem się znowu, nie chcąc, aby mnie dojrzał Jupien; zbliżała się godzina jego biura, skąd wracał aż na obiad, i to nie zawsze, od tygodnia bowiem siostrzenica jego bawiła z pomocnicami gdzieś na wsi u klientki, aby skończyć jej suknię. Następnie, zdając sobie sprawę, że nikt mnie nie może widzieć, postanowiłem się już nie ruszać z obawy, aby nie przeoczyć — o ile cud miałby się zdarzyć — beznadziejnego prawie przybycia (poprzez tyle przeszkód, odległości, utrudnień, niebezpieczeństw) owada wysłanego z tak daleka w ambasadzie do dziewczycy od dawna wyczekującej nadaremnie.

Wiedziałem, że to wyczekiwanie nie jest całkowicie bierne, tak samo jak u męskiego kwiatu, którego pręciki obróciły się samorzutnie, iżby owad mógł łatwiej przyjąć ich pyłek; tak samo znajdujący się tutaj żeński kwiat, w razie gdyby owad przybył, wygiąłby

zalotnie swoje słupki i, aby ów owad lepiej mógł weń wnikać, zrobiłby to nieznacznie — niby obłudna, lecz namiętna dziewczyna — pół drogi. Prawami świata roślinnego rządzią znów coraz wyższe prawa. Jeżeli wizyta owada, to znaczy przeniesienie pyłku z innego kwiatu, potrzebna jest zazwyczaj do zapłodnienia, to dlatego że samo zapłodnienie — zapłodnienie kwiatu przez siebie samego — spowodowałoby, niby małżeństwa powtarzane w jednej i tej samej rodzinie, degenerację i bezpłodność; krzyżowanie natomiast dokonywane przez owady daje następnym pokoleniom tego samego gatunku nieznaną ich poprzednikom żywotność. Ale ten rozmach może być nadmierny, gatunek może się rozwijać przesadnie; wówczas, jak antytoksyna broni przed chorobą, jak gruczoł tarczowy miarkuje naszą tuszę, jak kłęska karze dumę, zmęczenie rozkosz, sen zaś daje z kolei wypoczynek po zmęczeniu, tak wyjątkowy akt samozapłodnienia przychodzi we właściwym punkcie, aby uregulować, zahamować, wrócić do normy kwiat, który z niej za bardzo wyszedł.

Refleksje moje biegły po linii, którą opiszę później; z oczywistej chytryści kwiatów wyciągnąłem już konsekwencje tyżące się nieświadomej partii literackiego dzieła. Naraz ujrzałem pana de Charlus wychodzącego od margrabiny. Upłynęło ledwie kilka chwil od jego wejścia. Może dowiedział się od sędziwej krewniaczki — lub tylko przez służącego — o polepszeniu lub raczej o zupełnym wyleczeniu tego, co było u pani de Villeparisis prostą niedyspozycją. W tej chwili pan de Charlus sądził, że nikt nań nie patrzy; mrużył oczy od blasku słońca, z twarzy jego znikło owo napięcie, ustąpiło sztuczne ożywienie, jakie podtrzymywała u barona podnieta rozmowy oraz wysiłek woli. Blady był jak marmur; nos miał bardzo wydatny, despotyzm spojrzenia nie dawał już jego delikatnym rysom wymowy psującej piękność ich rysunku; w tej chwili pan de Charlus był już tylko Guermantem, zdawał się już wyrzeźbiony — on, Palamed XV — w kaplicy Combray. Ale te typowe rysy rodzinne przybierały na twarzy pana de Charlus subtelność bardziej uduchowioną, łagodniejszą zwłaszcza. Żałowałem dla niego, że tę uprzejmość, słodycz, tak dobroduszenie rozkwitające na jego twarzy w chwili, gdy wychodził od pani de Villeparisis, baron kazi zazwyczaj taką gwałtownością, tyłoma przykrymi dziwactwami, plotkarstwem, oschłością, podejrziwością i arogancją, że je kryje pod sztuczną brutalnością. Mrugając oczami w słońcu, zdawał się niemal uśmiechać; na twarzy jego, oglądanej niejako w chwili spokoju i jak gdyby w naturalnej postaci, było coś tak serdecznego, bezbronnego, że nie mogłem się wstrzymać od myśli, jak wściekły byłby pan de Charlus, gdyby wiedział, że ktoś nań patrzy; bo ten człowiek tak rozkochany w męskości i tak się nią pyszniący, człowiek, któremu wszyscy wydawali się wstrętne zniewieściami, przypominał mi w tej chwili — tak dalece miał przelotnie jej rysy, wyraz, uśmiech — przypominał mi w tej chwili kobietę. Miałem się znów cofnąć, aby mnie baron nie spostrzegł; nie zdążyłem ani nie potrzebowałem tego uczynić. Bo cóż ujrzałem! Twarz w twarz, na tym dziedzińcu, gdzie się z pewnością nigdy nie spotkali (pan de Charlus przychodził do pałacu Guermantów jedynie po południu, w godzinach, gdy Jupien był w biurze), baron, otwarty nagle szeroko przymknięte oczy, spoglądał z nadzwyczajną uwagą na eks-krawca stojącego w progu sklepu, gdy ten, przygwożdżony nagle do miejsca widokiem pana de Charlus, wrosły w ziemię jak roślina, patrzył z zachwytem na brzuszek podstarzałego barona. Ale, rzecz jeszcze bardziej zdumiewająca, kiedy pan de Charlus zmienił pozę, zachowanie się Jupiena — jak gdyby zgodnie z prawidłami tajemnej sztuki — dostroiło się do niej natychmiast. Baron, który starał się teraz ukryć swoje wrażenie, ale który, mimo przybranej obojętności, oddalał się z widocznym żalem, chodził tam i z powrotem, puszczał wzrok w przestrzeń w sposób mający uwydatnić piękność jego oczu, przybierał minę zalotną, niedbałą, śmieszłą. Otóż Jupien, natychmiast tracąc uniżony i pocziwy wyraz, jaki zawsze u niego znałem, podniósł — w doskonałej symetrii z baronem — głowę, wygiął zwycięsko talię, wsparł z pocieszną arogancją rękę na biodrze, wypinał siedzenie, dobierał pozy z zalotnością godną orchidei wobec opatrznociowego bąka. Nie wiedziałem, że on może być tak antypatyczny! Ale nie posądzałem go także, aby był zdolny zaimprovizować swoją partię w tej niemo rozgrywającej się scenie, która (mimo że Jupien pierwszy raz znalazł się w obecności pana de Charlus) zdawała się od dawna wypróbowana; do takiej doskonałości dochodzi się samorzutnie jedynie wtedy, kiedy się spotka na obczyźnie krajana: wówczas porozumienie dokonywa się samo przez się, obaj znajdują wspólny język, mimo że się nigdy z sobą nie widzieli.

Scena ta nie była zresztą wprost komiczna; nacechowana była jakąś dziwnością lub, jeśli kto woli, naturalnością, której piękno wciąż rosło. Daremnie pan de Charlus przybierał obojętną minę, spuszczał od niechcenia powieki, chwilami podnosił je, kierując wówczas na Jupiena baczne spojrzenie. Sądził z pewnością, iż podobna scena nie powinna się zbyt przeciągać w tym miejscu, bądź z racji, które zrozumiemy później, bądź przez owo poczucie krótkości wszystkich rzeczy, które każe nam pragnąć, aby każda strzała trafiała do celu, i które czyni czymś tak wzruszającym grę wszelkiej miłości. Za każdym razem, kiedy pan de Charlus patrzył na Jupiena, starał się, aby jego spojrzeniu towarzyszyło słowo, co je czyniło czymś nieskończeniem odmiennym od spojrzeń, kierowanych zazwyczaj na osobę mało znajomą nam lub nieznaną. Patrzył na Jupiena ze znamionym uporem człowieka, który ma powiedzieć: „Daruje pan moją niedyskrecję, ale ma pan na plecach długi biały włos” albo: „Jeżeli się nie mylę, musi pan być także z Zurychu; zdaje mi się, że pana często spotykał u handlarza starożytności”. Podobnie, co dwie minuty, wzrok pana de Charlus zdawał się usilnie zadawać Jupienowi jedno i to samo pytanie, niby owe pytające frazy Beethovena, powtarzane bez końca w równych odstępach i mające — z przesadnym zbytkiem przygotowań — sprowadzić nowy motyw, zmianę tonacji, nawrót. Ale właśnie piękno spojrzeń pana de Charlus i Jupiena pochodziło stąd, że te spojrzenia — na razie przynajmniej — nie zdawały się do czegoś prowadzić. To piękno oglądałem pierwszy raz w osobach barona i Jupiena. W oczach jednego i drugiego wschodziło niebo nie Zurychu, ale jakiegoś wschodniego miasta, którego nazwy jeszcze nie odgadłem. Jaki bądź wzgląd mógł wstrzymać pana de Charlus i eks-krawca, porozumienie ich zdawało się faktem, i te zbyteczne spojrzenia były już tylko rytualnymi niejako przegrywkami, podobnymi fetom, jakie się wydaje przed postanowionym małżeństwem. Zbliżając się jeszcze do natury — a mnogość tych porównań jest dość naturalna, ile że ten sam człowiek, jeżeli go obserwujemy przez kilka minut, wydaje się kolejno człowiekiem, człowiekiem-ptakiem lub człowiekiem-owadem itd. — rzekłoby się, dwa ptaki, samiec i samica: samiec starający się posuwać naprzód, samica — Jupien — nieodpowiadająca już żadnym znakom na ten manewr, lecz patrząca na swego nowego kochanka bez zdziwienia, z niedbałą bacznością, uznając z pewnością tę postawę za bardziej zalotną i jedynie celową, z chwilą gdy samiec uczynił pierwsze kroki i poprzestawał na gładzeniu swoich piór.

Wreszcie jednak obojętność przestała widocznie Jupienowi wystarczać; od pewności podboju do tego, aby się kazać gonić i pożądać, był tylko krok; decydując się iść do swoich zajęć, Jupien wyszedł za bramę. Bądź co bądź, odwrócił parę razy głowę, zanim wyszedł na ulicę, gdzie baron, drżąc, iż zgubi jego ślad, pomknął żywo, aby go dogonić. Idąc baron pogwizdywał z miną fanfaronu i krzyknął: „Do widzenia!” odźwiernemu, który, podpity i podejmując swoich gości w pokoiku za kuchnią, nawet nie usłyszał.

W tej samej chwili, w której pan de Charlus wypadł z bramy, pogwizdując niby duży bąk, drugi — ten prawdziwy — wleciał w dziedziniec. Kto wie, czy to nie ów tak długo oczekiwany przez orchideę owad przynosił jej rzadki pyłek, bez którego groziłoby jej wieczne dziewictwo.

Ale nie mogłem śledzić ruchów owada, bo po kilku minutach, bardziej absorbując moją uwagę, Jupien (może po to, aby wziąć paczkę, którą zabrał później, a której pod wpływem wzruszenia, w jakie go wprawił widok pana de Charlus, zapomniał; może po prostu z naturalniejszej przyczyny), Jupien wrócił, wiodąc za sobą barona. Ten, zdecydowany przyspieszyć bieg rzeczy, poprosił eks-krawca o ogień, ale natychmiast zauważył:

— Proszę pana o ogień, ale widzę, że zapomniałem cygar.

Prawo gościnności zwyciężyło reguły kokieterii.

— Niech pan wejdzie, otrzyma pan wszystko, czego pan zapagnie — rzekł krawiec, na którego twarzy wzgarda ustąpiła miejsca radości.

Drzwi sklepowe zamknęły się za nimi i nie mogłem już nic słyszeć. Straciłem z oczu bąka; nie dowiedziałem się, czy to był owad potrzebny orchidei, ale nie wątpiłem — co się tyczyło bardzo rzadkiego owada i uwięzionego kwiatu — o cudownej możliwości sparzenia się ich, skoro pan de Charlus (proste zestawienie opatrnościowych trafów różnego rodzaju i bez najmniejszej pretensji naukowej kojarzenia pewnych praw botaniki oraz tego, co czasem nazywają — bardzo źle — homoseksualizmem), który od lat przychodził do tego domu jedynie w nieobecności Jupiena, dziś, wskutek przypadkowej

niedyspozycji pani de Villeparisis, spotkał go, a wraz z nim szczęście chowane dla ludzi z rodzaju barona przez jedną z tych istot, które mogą być (ujrzemy to później) nieskończenie młodsze i piękniejsze od Jupiena, przez człowieka przeznaczonego na to, aby tamci mieli swoją czastkę rozkoszy na tej ziemi: mężczyznę lubiącego jedynie starszych panów.

To, com powiedział tutaj, miałem zrozumieć aż w kilka minut później, tak ściśle łączy się z rzeczywistością jej dar stania się niewidzialną, aż ją jakaś okoliczność odrze z tego daru. W każdym razie, w tej chwili byłem bardzo nierad, że już nie słyszę rozmowy eks-krawca z baronem. Naraz spostrzegłem ów sklep do wynajęcia, oddzielony od sklepu Jupiena jedynie cienkim przepierzeniem. Aby tam się dostać, trzeba mi było jedynie wrócić do naszego mieszkania, iść do kuchni, zejść schodami kuchennymi do piwnic, przejść piwnicami całą szerokość dziedzińca i, doszedłszy do sutereny (gdzie jeszcze przed kilku miesiącami stolarz miał skład drzewa, a gdzie Jupien zamierzał trzymać węgle), przebyć kilka stopni wiodących do sklepu. W ten sposób odbyłbym całą drogę w ukryciu, nie widziałby mnie nikt. Było to najbezpieczniej. Ale nie tę drogę obrałem: sunąc wzdłuż muru, obszedłem po prostu dziedziniec, starając się, aby mnie nie widziano.

Jeżeli mnie nikt nie ujrzał, sądzę, że zawdzięczam to raczej przypadkowi niż roztropności. A dla faktu, że obrałem postanowienie tak nierozważne (podczas gdy iść piwnicami było tak bezpiecznie), widzę trzy możliwe racje, przyjąwszy, że w ogóle była jaka. Najpierw swoją niecierpliwość. Następnie może mgliste wspomnienie sceny w Montjouvain, kiedy stałem ukryty za oknem panny Vinteuil. W istocie, tego rodzaju rzeczy, których byłem świadkiem, zawsze miały w swojej inscenizacji charakter najbardziej nieostrożny i najmniej prawdopodobny, tak jakby podobne odkrycia miały być nagrodą jedynie aktu pełnego ryzyka, mimo iż po części tajemnego. Trzecią wreszcie rację zaledwie śmiem wyznać z powodu jej dzieciństwa, mimo iż była ona, jak sądzę, podświadomie rozstrzygająca. Od czasu jak chcąc sprawdzić — i przekonać się o ich zawodności — zasady wojskowe Roberta, śledziłem bardzo szczegółowo wojnę Boerów, doprowadziło mnie to do odczytywania dawnych opisów odkryć, podróży. Te opowiadania rozpały mnie i stosowałem je w życiu codziennym, aby w sobie wyrobić więcej odwagi. Kiedy ataki choroby trzymały mnie przez wiele dni i nocy nie tylko bez snu, ale bez spoczynku, bez picia i jedzenia, w chwili gdy wyczerpanie i ból stawały się beznadziejne, myślałem o jakimś wyrzuconym na brzeg podróżniku, zatrutym zabójczymi ziołami, dygocącym z gorączki w sukniach zmoczonych wodą morską, który wszelako, czując się lepiej po upływie dwóch dni, puszczał się na oślep na poszukiwanie mieszkańców, mających się może okazać ludożercami. Te przykłady krzepiły mnie, wracały mi nadzieję: wstyd mi było chwilowej rozpacz. Myśląc o Boerach, którzy, mając na wprost siebie armię angielską, nie lękali się odsłonić, przebywając kawał szczerzego pola, zanim znów dopadli gąszczu, myślałem sobie: „Ja miałbym być tchórzliwszy, kiedy teatrem operacyjnym jest tylko własny dziedziniec i kiedy mnie — który bez cienia lęku miałem kilka pojedynków w momencie sprawy Dreyfusa — grozi jedynie wzrok sąsiadów, mających co innego do roboty niż patrzeć na dziedziniec”.

Ale kiedy się znalazłem w sklepie, starając się, o ile możliwości, aby podłoga nie trzeszczała, i zdając sobie zarazem sprawę, iż najlżejszy szmer w sklepie Jupiena słyhać w mojej kryjówce, osądziłem, do jakiego stopnia Jupien i pan de Charlus byli nierozważni i jak bardzo traf im sprzyjał.

Nie śmiałem się poruszyć. Masztalesz księstwa de Guermantes, korzystając z pewnością z ich nieobecności, przeniósł niedawno do sklepu, gdzie się znajdował, drabinkę przechowywaną dotąd w remizie. Gdybym wszedł na tę drabinkę, mógłbym otworzyć okienko i słyszeć wszystko tak, jakbym był w samym pokoju Jupiena. Ale bałem się narobić hałasu. Zresztą to było zbyt bezsensowne. Nie potrzebowałem nawet żałować, że znalazłem w sąsiednim sklepie dopiero po upływie kilku minut. Bo, sądząc z tego, com usłyszał w pierwszej chwili w lokalu Jupiena — a były to same nieartykułowane dźwięki — przypuszczam, że wymieniono tam niewiele słów. Prawda, iż dźwięki były tak gwałtowne, że gdyby im wciąż nie towarzyszył, o oktawę wyżej, równoległy jęk, mógłbym przypuszczać, że to jakiś człowiek tuż obok morduje drugiego i że potem morderca wraz ze swoją zmartwychwstałą ofiarą biorą kąpiel, aby zatrzeć ślady zbrodni. Wywnioskowałem stąd później, że jeżeli jest jakaś rzecz równie hałaśliwa jak cierpienie, to jest nią rozkosz, zwłaszcza kiedy się z nią łączy — w braku obawy dziecka, co nie mogło grozić

tutaj, mimo (niezbyt przekonującego) przykładu z *Żywotów świętych* — natychmiastowa troska o kwestie czystości. Wreszcie, po upływie mniej więcej pół godziny (w czasie której wdrapałem się ostrożnie na drabinę, aby patrzeć przez zamknięty zresztą lufcik), zawiązała się rozmowa. Jupien odmawiał energicznie wzięcia pieniędzy, które mu pan de Charlus chciał wręczyć.

Po upływie pół godziny pan de Charlus wyszedł.

— Czemuś ty się tak ogolił — rzekł do barona Jupien pieszczotliwym tonem. — To takie ładne, piękna broda.

— Fe! To obrzydliwe — odparł baron. Ale wciąż jeszcze stał w progu i wypytywał Jupiena o jakieś szczegóły dotyczące dzielnicy. — Nie wiesz nic o kasztaniarzu na rogu, nie po lewej, to ohyda, ale po parzystej stronie, wielki chłop, bardzo czarny? A aptekarz naprzeciwko, jest tam bardzo milusi goniec, który rozwozi lekarstwa.

Te pytania zmroziły zapewne Jupiena, bo prostując się z urazą zdradzonej „wielkiej miłości”, odparł:

— Widzę, że pan ma serce jak dom zajezdny

Wyrzut ten, wygłoszony bolesnym, lodowatym i mizdrzącym się tonem, musiał być dotkliwy dla pana de Charlus; aby zatrzeć złe wrażenie wywołane jego ciekawością, zwrócił się do Jupiena (zbyt cicho, abym mógł dosłyszeć słowa) z prośbą wymagającą z pewnością przedłużenia ich pobytu w sklepie. Krok ten wzruszył snadź krawca na tyle, aby zatrzeć jego urazę, bo popatrzał na twarz barona — tłąstą i przekrwioną pod szpakowatymi włosami — z upojoną miną człowieka, którego miłość własną pogłaskano rozkosznie. Decydując się przychylić do próśb pana de Charlus, po uwagach pozbawionych dystynkcji, jak: „Ależ masz wielką pupę”, Jupien rzekł do barona z uśmiechem, wzruszony, dumny i wdzięczny:

— No, dobrze już, dobrze, ty mój smarkaty.

— Jeżeli wracam do kwestii konduktora tramwajowego — podjął wytrwały pan de Charlus — to dlatego że, poza wszystkim innym, mogłoby mi się to przydać w pewnych wypadkach, na przykład z okazji powrotów. Zdarza mi się w istocie, jak kalifowi przebiegającemu Bagdad w postaci prostego kupca, iść za jakąś interesującą osobką, której sylwetka mnie zaciekawi.

Uderzyło mnie tutaj to samo, co mnie już raz zastanowiło u Bergotte'a. Gdyby miał kiedy odpowiadać przed sądem, użyłby nie tych wyrażen, które by najsnadniej mogły przekonać sędziów, ale wyrażen *à la* Bergotte, które mu podsuwał jego swoisty temperament literacki i których użycie sprawiało mu przyjemność. Podobnie pan de Charlus, mówiąc z pokątnym krawcem, posługiwał się językiem, jakiego by używał z ludźmi swojej sfery. Przesadzał nawet swoje tiki: czy że nieśmiałość, z którą silił się walczyć, popychała go do nadmiernej dumy, czy że, przeszkadzając mu panować nad sobą (bo jesteśmy bardziej oniśmieleni wobec osoby nienależącej do naszej sfery), kazała mu odsłonić, obnażyć swoją naturę, w istocie dumną i trochę niepoczytalną, jak mówiła pani de Guermantes.

— Aby nie zgubić tropu — ciągnął baron — skaczę jak student, jak młody i piękny medyk do tego samego tramwaju co młoda osobka, o której mówimy w rodzaju żeńskim jedynie dla zachowania reguły (tak jak się mówi o panującym: „Czy wasza wysokość jest zdrowa”). Jeżeli osobka zmieni tramwaj, biorę — może wraz z mikrobami dzumy — tę niewiarygodną rzecz zwaną „przesiadką” i numer, który — mimo że go wręczają *mnie!* — nie jest zawsze numerem! Przesiadam się w ten sposób trzy lub cztery razy. Dobiłam czasem o jedenastej wieczór Dworca Orleańskiego, i trzeba wracać! Gdybyż to był tylko Dworzec Orleański! Ale raz na przykład, nie mogąc wcześniej nawiązać rozmowy, dojechałem do samego Orleanu w jednym z tych okropnych wagonów, gdzie się ma jako widok, między trójkątnymi robótkami, tak zwanymi „szydełkowymi”, fotografie architektonicznych arcydzieł okręgu kolejowego. Było tylko jedno miejsce wolne, miałem na wprost siebie, jako monument historyczny, „widok” katedry orleańskiej, najbrzydszej we Francji i równie męczącej do oglądania w ten sposób wbrew woli, co gdyby mi kazano podziwiać jej wieże w szkiełku obsadek z „widokami”, od których dostaje się zapalenia oczu. Wsiadłem w Aubrais równocześnie z młodą osobą, którą, niestety, rodzina (wówczas gdy ją ją posądzalem o wszystkie przywary z wyjątkiem tej, aby miała rodzinę) oczekiwała na peronie! Czekać na pociąg, który by mnie odwiózł do Paryża, miałem za całą pociechę jedynie dom Diany de Poitiers. Mimo iż ta Diana czarowała jednego

z moich królewskich przodków, wołałbym piękność bardziej aktualną. Toteż aby mieć lekarstwo na nudę tych samotnych powrotów, chętnie bym poznał jakiegoś posługacza od wagonów sypialnych, jakiego konduktora osobowego pociągu. Niech cię to nie razi — zakończył baron — to wszystko jest kwestia odcieni. Wobec młodych ludzi z towarzystwa na przykład nie pragnę wcale fizycznego posiadania, ale znajduję ukojenie aż wtedy, kiedym się w nich domacał, nie dosłownie, tkliwej struny. Skoro zamiast zostawiać moje listy bez odpowiedzi młody człowiek nie przestaje pisać do mnie, kiedy jest moralnie *mój*, jestem uspokojony lub przynajmniej byłbym uspokojony, gdybym zaraz nie zaczął pragnąć innego. To dosyć ciekawe, prawda? *A propos* młodych ludzi z towarzystwa, czy nie znasz czegoś takiego pośród tych, co bywają tutaj?

— Nie, *mój* dzidziusiu. A, owszem, jest jeden brunet, bardzo wysoki, z monoklem, który wciąż się śmieje i ogląda.

— Nie orientuję się, kogo ty masz na myśli...

Jupien uzupełnił portret, ale pan de Charlus nie mógł dojść, o kogo chodzi, bo nie wiedział, że eks-krawiec jest z gatunku ludzi liczniejszych, niż się mniema, którzy nie pamiętają koloru włosów mniej znajomych im osób. Ale dla mnie, który znałem ten defekt Jupiena i zastąpiłem bruneta blondynem, portret ten odpowiadał dość ściśle księciu de Châtellerault.

— Aby wrócić do młodych ludzi nie z ludu — podjął baron — w tej chwili mam głowę zaproszoną szczególnym chłopakiem, młodym inteligentem, który traktuje mnie wściekle niegrzecznie. Nie ma żadnego poczucia olbrzymiej osobistości, jaką jestem ja, a mikroskopijnego wibriona, jakim jest on. Ostatecznie, mniejsza, ten młody osioł może ryczeć, ile mu się podoba, wobec mojej dostojnej szaty biskupiej.

— Biskup! — wykrzyknął Jupien, który nic nie zrozumiał z ostatnich słów pana de Charlus, ale którego słowo „biskup” wprawilo w osłupienie. — Ależ to całkiem nie pasuje z religią — rzekł.

— Mam trzech papieży w rodzinie — odparł pan de Charlus — i prawo noszenia się czerwono z racji tytułu kardynalskiego; siostrzenica kardynała, mojego wujecznego dziadka, wniosła memu dziadkowi tytuł diuka, który substytuowano. Widzę, że moje metafory zostawiają cię głuchym, a historia Francji obojętnym. Zresztą — dodał baron, nie tyle może w sensie konkluzji, co w sensie ostrzeżenia — ten urok, jaki wywierają na mnie młode osoby, które mnie unikają, ze strachu rozumie się, bo jedynie szacunek zamyka im usta i nie pozwala im krzyczeć, że mnie kochają, ten urok wymaga u nich znamienitej rangi społecznej. A i tak ich udana obojętność może mimo to mieć wręcz przeciwny skutek. Głupio przeciągana mierzi mnie. Dam ci przykład zaczerpnięty w klasie, która ci będzie bliższa. Kiedy odnawiano *mój* pałac, nie chcąc wzniecać zazdrości między damami z mitrą, które walczyły o to, aby móc opowiadać, że u nich mieszkał, przeniosłem się na kilka dni do „hotelu”, jak się to nazywa. Znając jednego ze służących, wskazałem mu interesującego małego „strzelca”, który się okazał oporny na moje propozycje. W końcu, przywieziony do ostateczności, aby mu dowieść, że moje intencje są czyste, ofiarowałem mu śmiesznie wysoką sumę jedynie za to, aby przyszedł na pięć minut porozmawiać do mojego pokoju. Czekałem na próżno. Nabrałem wówczas do niego takiego wstrętu, że u wychodził służbowymi schodami, aby nie musieć oglądać gęby tego małego ladaco. Dowiedziałem się później, że nie dostał żadnego z moich listów: wszystkie przejęto! Pierwszy list skreślił służący, który był zazdrosny; drugi — portier dzienny, który był cnotliwy; trzeci — portier nocny, który się kochał z młodym „strzelcem” i sypiał z nim o godzinie, w której Diana wstaje. Mimo to *mój* wstręt przetrwał i choćby mi przyniesiono tego boy’a na srebrnym półmisku, odepchnąłbym go ze wstrętem. Ale patrz, co za nieszczęście: wdaliśmy się w rozmowę o rzeczach serio i teraz przepadło dla nas to, na co liczyłem. Ale mógłbyś mi oddać wielkie usługi, służyć mi za pośrednika... Chociaż nie, sama ta myśl wróciła mi jurność, czuję, że nic nie jest skończone.

Od początku tej sceny huska opadła mi z oczu; pan de Charlus zmienił się w nich tak kompletnie i tak nagle, jak gdyby go dotknięto różdżką czarnoksięską. Dotąd, ponieważ nie rozumiałem, nie widziałem. Przywara (tak się mówi dla wygody słownictwa), przywara każdego człowieka towarzyszy mu na sposób owego ducha niewidzialnego ludziom, dopóki nie znali jego obecności. Dobroć, fałsz, nazwisko, stosunki światowe są czymś nie do odgadnięcia, człowiek nosi je ukryte. Sam Ulisses zrazu nie poznał Atene. Ale

bogowie są natychmiast dostrzegalni bogom; i niemniej szybko podobny odgaduje podobnego, jak się to okazało z panem de Charlus i Jupienem. Dotąd patrzałem na pana de Charlus tak, jak roztargniony człowiek patrzy na kobietę brzemienną, której zmienionej figury nie zauważył. I gdy ona powtarza mu z uśmiechem: „Tak, jestem trochę zmęczona w tej chwili”, on dopytuje się uparcie: „Co pani jest?”. Ale niech mu ktoś powie: „Jest w ciąży”, nagle spostrzeże brzuch i będzie widział tylko ten brzuch. Intelpekt otwiera nam oczy, rozprószona omyłka przydaje nam jeden zmysł więcej.

Ci, co nie lubią szukać przykładu tego prawa w znajomych sobie „panach de Charlus”, których długi czas nie podejrzewali, aż do dnia, gdy na gładkiej powierzchni osobnika podobnego do innych zjawily się, wypisane nieczytelnym dotąd atramentem, głoski składające słowo drogie dawnym Grekom, ci, jeśli chcą zrozumieć, iż otaczający ich świat ukazuje się im zrazu nagi, odarty z tysiąca ornamentów, które nastrocza świadomym, niech sobie tylko przypomną, ile razy w życiu zdarzyło im się być blisko popełnienia gafy. Nic na neutralnej twarzy danego osobnika nie mogło im wskazać, że ów osobnik jest właśnie bratem, narzeczonym lub kochankiem kobiety, o której mieli powiedzieć: „Co za krowa!”. Szczęściem słowko szepnięte im w porę przez sąsiada zatrzymuje im na wargach nieszczęsne wyrażenie. Natychmiast zjawiają się niby *Mane, Tekel, Fares* te słowa: to jest narzeczony albo: to jest brat, albo: to jest kochanek kobiety, której nie wypada nazywać przy nim „krową”. I ta nowa świadomość pociągnie za sobą przegrupowanie, cofnięcie lub posunięcie się naprzód cząstki wiadomości — uzupełnionych obecnie — jakie się posiadało o reszcie rodziny. Daremnie w panu de Charlus inna istota, różniąca go od innych ludzi, łączyła się niby w centaurze koń z człowiekiem, daremnie ta inna istota zespalała się z baronem — nie spostrzegłem jej dotąd nigdy. Teraz abstrakcja zmaterializowała się; zrozumiana nareszcie istota straciła natychmiast swoją czapkę-niewidkę; przeobrażenie pana de Charlus w nową osobę było tak zupełne, że nie tylko kontrasty jego twarzy, głosu, ale retrospektywnie nawet przyplwy i odpływy jego stosunku do mnie, wszystko, co wydawało się dotąd mojej inteligencji czymś bezładnym, stawało się zrozumiałe, oczywiste. Tak zdanie nieprzedstawiające żadnego sensu, dopóki pozostaje rozłożone na rozsypane przypadkowo litery, wyraża — skoro te litery ułożyć we właściwym porządku — myśl, której niepodobna już będzie zapomnieć.

Co więcej, zrozumiałem teraz, czemu przed chwilą, widząc barona wychodzącego od pani de Villeparisis, mogłem uważać, że on wygląda na kobietę: był kobietą! Należał do rasy istot, mniej paradoksalnych, niż się wydaje, których ideałem jest męskość właśnie dlatego, że ich natura jest żeńska, a które w życiu są podobne jedynie z pozoru do innych mężczyzn; tam gdzie każdy nosi — wypisaną w tych oczach, którymi widzi wszystko we wszechświecie — sylwetkę wyrytą w soczewce źrenicy, u nich nie jest to sylwetka nimfy, lecz efeba. Rasa, na której ciąży przekleństwo i która musi żyć w kłamstwie i krzywoprzysięstwie, bo wie, że jej pragnienie, stanowiące dla wszelkiej istoty największą słodycz życia, jest niepodobne do wyznania, karalne i hańbiące; rasa, która musi się zapierać swojego Boga, bo nawet chrześcijanie, kiedy się jawią przed kratkami sądowymi jako oskarżeni, muszą, wobec Chrystusa i Jego imienia, bronić się niby od potwarzy od tego, co jest treścią ich życia; synowie bez matki, której muszą kłamać całe życie, nawet w chwili gdy jej zamykają oczy; przyjaciele bez przyjaźni, mimo wszystkich uczuć, które często budzi ich czar i których serce ich, często dobre, mogłoby kosztować; ale czy można nazwać *przyjaźnią* stosunki wegetujące jedynie dzięki kłamstwu; stosunki, w których pierwszy ufny i szczerzy wylew sprawiłby, że by ich odrącono ze wstrętem, chyba że mają do czynienia z umysłem bezstronnym, nawet współczującym, ale który wówczas, zmylony w danym przedmiocie konwencjonalną psychologią, z wyznanego błędu wywiedzie przywiązanie najbardziej błędowi temu obce, tak jak niektórzy sędziowie łatwiej przyjmują i usprawiedliwiają morderstwo u zbrojców, a zdradę u Żydów, z motywów zaczerpniętych z grzechu pierworodnego i z fatalności rasy. Kochankowie — przynajmniej wedle mojej pierwotnie naszkicowanej teorii, która, jak się to okaże, zmieni się w przyszłości, a w której najbardziej by ich to zmartwiło, gdyby ta sprzeczność nie była skryta ich oczom siłą tego samego złudzenia, które im dawało widzieć i żyć — kochankowie, dla których jest niemal zamknięta możliwość tej miłości, dającej im przez swoje nadzieje siłę zniesienia tyłu niebezpieczeństw i takiego osamotnienia, gdyż szaleją właśnie za mężczyzną nie mającym nic z kobiety, za mężczyzną nie będącym zbrojcem i tym samym niezdolnym

ich kochać; tak iż pragnienie ich byłoby na zawsze nieugaszone, gdyby pieniądze nie wydawały im na łup prawdziwych mężczyzn i gdyby wyobraźnia nie ukazywała im prawdziwych mężczyzn w zbroczeniach, z którymi się prostytuują. Honor mają jedynie z łaski, wolność — prowizoryczną aż do odkrycia zbrodni; sytuację — chwiejną, jak ów poeta wczoraj fetowany w salonach, oklaskiwany we wszystkich teatrach Londynu, nazajutrz wypędzony ze wszystkich oberży, nie mający gdzie głowy skłonić, obracający żarna jak Samson i mówiący jak on:

Dwie płcie umrą, każda po swojej stronie;

wyzuci nawet — z wyjątkiem dni wielkiej niedoli, kiedy ciżba skupia się koło ofiary jak Żydzi koło Dreyfusa — z sympatii, czasem z towarzystwa podobnych sobie, budzą w nich wstręt przez to, że im ukazują to, czym tamci są; są dla nich lustrem, co, nie pochlebając im już, zdradza wszystkie skazy, których nie chcieli zauważyć u siebie, i przekonuje ich, że to, co nazywali swoją miłością (i z czym, igrając ze słowami, skojarzyli przez zmysł socjalny wszystko to, co poezja, malarstwo, muzyka, rycerstwo, ascetyzm mogły przydać miłości), wypływa nie z obranego przez nich ideału piękności, ale z nieuleczalnej choroby. I — znów jak owi Żydzi (z wyjątkiem niektórych, chcących obcować jedynie z ludźmi swojej rasy, mających w ustach zawsze rytualne słowa i uświęcone żarciki) — stronią jedni od drugich, szukając tych, którzy są ich największym przeciwieństwem, którzy ich nie chcą; i wybaczą im objawy wstrętu, upajając się ich uprzejmością; ale tak samo jak Żydzi złączeni z podobnymi sobie przez ostracyzm, jaki ich wspólnie dotyka, przez hańbę, w jaką popadli, nabierają w końcu, od prześladowań podobnych prześladowaniu Izraela, fizycznych i moralnych cech rasy. Czasami piękni, często ohydni znajdują (mimo wszystkich drwin, jakimi osobnik bardziej mieszany, lepiej zasymilowany z przeciwną rasą i na pozór mniej stosunkowo zбочony, obsypuje większego zбочenca) w towarzystwie podobnych sobie wytchnienie, a nawet oparcie własnej egzystencji; tak iż, przecząc, aby byli rasą (której nazwa jest największą zniewagą), demaskują chętnie tych, co zdołali ukryć, że do niej należą, nie tylko aby im szkodzić (co również zresztą się zdarza), ile by wytłumaczyć samych siebie; szukają — jak lekarz zapalenia wyrostka robaczkowego — inwersji nawet w historii, z lubością przypominając — jak Izraelici mówią o Jezusie — że Sokrates był jednym z nich, nie pamiętając, że nie było zбочenców wówczas, gdy homoseksualizm był normą — jak nie było antychrześcijan przed Chrystusem — że jedynie hańba tworzy zbrodnię, ponieważ dała przetrwać tylko tym, co byli oporni na wszelkie upomnienia, na wszelki przykład, na wszelką karę, na skutek wrodzonego usposobienia tak specjalnego, że budzi w innych ludziach (mimo że mogą się z nim łączyć wysokie przymioty moralne) większy wstręt niż niektóre przywary najbardziej sprzeczne z moralnością, jak kradzież, okrucieństwo, zła wiara — przywary lepiej rozumiane, zatem łatwiej usprawiedliwione przez ogół. Ci ludzie stanowią masonerię rozleglejszą, skuteczniejszą i mniej podejrzaną niż loże masonskie, bo opiera się na tożsamości gustów, potrzeb, nawyków, niebezpieczeństw, wtajemniczenia, wiedzy, frymarki, słownictwa; masonerię, w której nawet ci jej członkowie, którzy nie chcą się znać wzajem, natychmiast się poznają po naturalnych lub umownych, mimowolnych lub celowych znakach, odsłaniających żebrakowi pobratymca w wielkim panu, któremu ów zamyka drzwiczki od karety, ojcu w narzeczoną córki, pacjentowi, penitentowi, klientowi w lekarzu, w księdzu, w adwokacie; wszyscy zmuszeni chronić swój sekret, ale uczestniczący w sekrecie drugich, którego reszta ludzkości nie podejrzewa. Dla tych ludzi najnieprawdopodobniejsze romanse stają się prawdą, bo w tym romantycznym, anachronicznym życiu ambasador jest przyjacielem zbrodniarza, księżę — z ową swobodą manier, którą daje arystokratyczne wychowanie, a której nie miałby drobnomieszczanin — wychodząc od księżnej, idzie na schadzki z apaszem. Jest to część społeczności ludzkiej potępiona, ale część ważna, podejrzana tam, gdzie jej nie ma, rozsiadająca się zuchwale i bezkarnie tam, gdzie jej nie odgadują; licząca adeptów wszędzie, wśród ludu, w armii, w świątyni, na galerach, na tronie; żyjąca wreszcie — przynajmniej jej największa część — w przymilnej i niebezpiecznej czułości z ludźmi innej rasy, wyzywająca ich, igrająca z nimi mówiąc o zбочeniu, tak jakby ono nie było ich udziałem: gra, którą ułatwiło zaślepienie lub fałsz tamtych, gra, która może się przeciągać przez lata, aż do dnia skandalu, który pożera tych pogromców.

Aż do tej pory zmuszeni są ukrywać swoje życie, odwracać spojrzenia od tego, na czym chcieliby je zatrzymać, zatrzymywać je na tym, od czego chcieliby je odwrócić; muszą zmieniać rodzaj przymiotników w swoim słownictwie. Ten przymus socjalny lekki jest w porównaniu z wewnętrznym przymusem, jaki zboczenie — lub to, co się niewłaściwie tak nazywa — nakłada im już nie w stosunku do innych, ale w stosunku do nich samych, i tak, aby im samym nie wydawało się zboczeniem. Ale niektórzy, praktyczniejsi, bardziej spieszący się, nie mający czasu sami wychodzić na targ ani wyrzec się uproszczeń życia oraz tej oszczędności czasu, jaką może dać kooperacja, stworzyli sobie dwa towarzystwa, z których drugie składa się całkowicie z istot im podobnych.

Uderza to u tych, którzy są biedni i przybywają z prowincji, bez stosunków, z jedną ambicją, aby zostać kiedyś jeden sławnym lekarzem, inny adwokatem, jeszcze bez przekonania, bez manier, których spodziewają się szybko nabyć, tak jak do swego pokoiku w Quartier Latin kupują meble wedle tego, co zauważą i przejmą u tych, co się już „wybili” w jakimś pożytecznym i poważnym zawodzie, w którym oni pragnęliby zająć zaszczytne miejsce. U tych ów specjalny pociąg, odziedziczony bez ich wiedzy, jak talent do rysunku, do muzyki, jak ślepotą, jest może jedyną żywotną i despotyczną oryginalnością, która pewnego wieczora każe im poświęcić jakieś pożyteczne dla ich kariery zebranie w towarzystwie ludzi, od których poza tym przejmują sposób mówienia, myślenia, ubierania się, czesania. W swojej dzielnicy, gdzie odwiedzają jedynie kolegów, nauczycieli lub jakiegoś wpływowego i życzliwego krajana, szybko odkryli innych młodych ludzi, których ten sam specjalny gust zbliża do nich, tak jak w małym miasteczku zbliżą się z sobą nauczyciel i rejent, obaj zamilowani w muzyce kameralnej lub kolekcjonujący średnio-wieczną kość słoniową; w przedmiot swojej rozrywki wkładając ten sam zmysł utylitarny, tego ducha zawodowego, jakiego przestrzegają w swojej karierze, spotykają ich na zebraniach, gdzie tak samo nie dopuszcza się żadnego profana, jak na wspólnych zebraniach amatorów starych tabakierek, japońskich sztychów, rzadkich kwiatów, gdzie przyjemność kształcenia się, pożytek wymiany i obawa współzawodnictwa rodzi, jak na giełdzie marek pocztowych, zarazem solidarność specjalistów i dzikie rywalizacje kolekcjonerów. Nikt zresztą w kawiarni, gdzie oni mają swój stolik, nie wie, co to jest za zebranie; czy to jest towarzystwo rybołówców, dziennikarzy lub „dzieci Indre”, tak bardzo zachowanie ich jest poprawne, wzięcie wstrzemięźliwe i chłodne, tak dalece nie śmieją się przyglądać inaczej niż ukradkiem młodym elegantom, młodym „lwom”, którzy o kilka kroków dalej szumnie paradują ze swymi damulkami. I ci, co ich podziwiają nie śmiejąc podnieść oczu, dowiedzą się aż w dwadzieścia lat później, kiedy jedni będą na progu Akademii, a drudzy starymi klubowcami, że najbardziej uroczy wśród tamtych, obecnie gruby i szpakowaty Charlus, był w istocie podobny do nich, ale gdzie indziej, w innym świecie, pod innymi godłami, z obcymi ich cechami, których odmiennosć wprowadziła ich w błąd. Takie ugrupowania bywają mniej lub więcej zaawansowane; i jak Unia Lewicy różni się od Federacji Socjalistycznej, a jakieś stowarzyszenie muzyczne mendelsonistów od Schola Cantorum, tak w pewne wieczory, przy innym stoliku, znajdują się ekstremiści, u których błysnie na chwilę spod mankietu bransoletka, czasem naszyjnik spod kołnierza koszuli, którzy swoimi natrętnymi spojrzeniami, swoim gruchaniem, piskami, śmieszkami, piśczotkami wypłaszają gromadkę uczniów. Tych obsługuje garson z grzecznością, pod którą czai się oburzenie; ten sam garson, który w pewne wieczory, kiedy obsługuje dreyfusistów, z przyjemnością wezwałby policji, gdyby mniej cenił satysfakcję zgarniania napiwków.

Tym organizacjom zawodowym smak przeciwstawia gusty samotników; dość naturalnie zresztą, gdyż naśladuje w tym właśnie owych samotników, którzy sądzą, że nic bardziej się nie różni od zorganizowanego zboczenia niż to, co się im samym wydaje niezrozumianą miłością; i co prawda też z pewną sztuczością, bo te rozmaite klasy, tak jak odpowiadają różnym typom fizjologicznym, tak też odpowiadają kolejnym momentom ewolucji patologicznej lub tylko socjalnej. I rzadkie w istocie jest, aby — prędzej lub później — samotnicy nie roztopili się w końcu w takich organizacjach, czasem przez proste znużenie, dla wygody (jak ci, co będąc długo największymi tego przeciwnikami, zakładają w końcu u siebie telefon, przyjmują państwa Iéna lub zaopatrują się u Potina). Są tam zresztą raczej źle widziani, bo w ich życiu stosunkowo czystym brak doświadczenia, przerost wyobraźni, na którą są skazani, silniej wycisnęły w nich swoiste cechy

zniewieścianości, które zawodowcy starali się zatrzeć. I trzeba przyznać, że u wielu z tych adeptów kobieta nie tylko wewnętrznie kojarzy się z mężczyzną, ale jest wstrętnie widoczna u tych ludzi wstrząsanych histerycznym spazmem ostrego śmiechu, który skręca im ręce i kolana, u tych osobników nie więcej już podobnych do ogółu ludzi niż owe małpy z podkrążonymi i melancholijnymi oczami, z chwytnymi nogami, ubrane w smoking i czarną krawatkę; tak iż mniej czystszy od nich uważają tych nowych adeptów za kompromitujące i niechętnie tolerowane towarzystwo; przyjmuje się ich wszelako i wówczas korzystają z owych ułatwień, za pomocą których handel, wielkie przedsiębiorstwa przeobraziły życie jednostek, udostępniły produkty dotąd zbyt luksusowe, a nawet trudne do dostania, i teraz zalewają ich nadmiarem tego, czego oni sami nie zdołaliby odkryć i w największym tłumie. Ale, nawet przy tych niezliczonych ułatwieniach, ucisk społeczny jest jeszcze zbyt ciężki dla niektórych, zwłaszcza tych, co nie wyzwolili się jeszcze z ucisku duchowego i wciąż uważają swój rodzaj miłości za rzadszy, niż jest. Zostawmy na chwilę tych, którym wyjątkowy charakter ich skłonności każe spoglądać z góry na kobiety, gardzić nimi i którzy czynią z homoseksualizmu przywilej wielkich geniuszów i wspaniałych epok. Ci, kiedy się starają nawracać na swój gust, zwracają się, przez żarliwość apostołstwa, tak jak inni głoszą syjonizm, integralny pacyfizm, saintsimonizm, wegetarianizm i anarchię, nie tyle do tych, którzy im się wydają predysponowani — jak czyni morfinoman z morfiną — ile do tych, którzy się im wydają godni. Niektórzy, kiedy ich zająć rano jeszcze w łóżku, ukazują cudowną głowę kobietą — tak dalece wyraz twarzy jest wspólny i symbolizuje całą płęć: potwierdzają to nawet ich włosy, zwoje ich są tak kobiece, pukle spadają tak naturalnie na policzki, że podziwiamy, iż młoda kobieta, młoda dziewczyna, Galatea ledwo budząca się w nieświadomości ciała mężczyzny, w którym jest zamknięta, mogła tak genialnie, sama z siebie, nie nauczywszy się od nikogo, skorzystać z najmniejszych szczelin swego więzienia, znaleźć to, co jej było potrzebne do życia. Bez wątpienia, młody człowiek z tą uroczą głową nie mówi: „Jestem kobietą”. Nawet jeżeli — z tylu możebnych przyczyn — żyje z kobietą, może się zaprzeczyć własnej kobiecości, może przysiąc, że nigdy nie miał nic z mężczyznami. Ale niech go kobieta ujrzy takim, jakim myśmy go pokazali, w łóżku, w pidżamie, z nagimi ramionami, z nagą szyją w fali ciemnych włosów. Pidżama zmieniła się w stanik kobiecy, głowa w główkę ładnej Hiszpanki. Kochankę przerażają te zwierzenia uczynione jej oczom, prawdziwsze, niżby mogły być słowa, a nawet czyny; zwierzenia, których zresztą czyny — jeżeli tego nie uczyniły dotąd — nie omieszkają potwierdzić, bo wszelka istota bieży za swoją rozkoszą, a jeżeli ta istota nie jest zbyt skażona, szuka jej w płci przeciwnej sobie. A dla zboczeńca zboczenie zaczyna się nie wtedy, kiedy nawiązuje stosunki z kobietami (zbyt wiele przyczyn może mu to nakazywać), ale wtedy, kiedy doznaje z nimi rozkoszy. Młody człowiek, któregośmy tu próbowali odmalować, był tak oczywiście kobietą, że kobiety, które spoglądały nań pożądliwie, były skazane (poza wypadkiem jakichś specjalnych skłonności) na to samo rozczarowanie co te, które w komediach Szekspira są zwiedzione przez przebraną młodą dziewczynę, podającą się za młodzieńca. Tu oszukaństwo jest podobne i sam zboczeniec wie o tym, zgaduje zawód, jakiego po zdjęciu kostiumu dozna kobieta; czuje, jakim źródłem poetyckiej fantazji jest to płciowe *qui pro quo*. Nic to również, że nawet swojej wymagającej kochance (o ile ona nie jest gomorejką) nie wyzna: „Jestem kobietą”; pomimo to, z jakimiż chytrściami, z jaką zwinnością, z jaką wytrwałością pnącej się rośliny owa nieświadoma, a oczywista kobieta szuka organu męskiego! Wystarczy spojrzeć na te włosy w puklach na białej poduszce, aby zrozumieć, że jeżeli wieczorem ten młody człowiek wymknie się rodzicom, wbrew nim, wbrew sobie, to nie po to, aby spieszyć do kobiet. Kochanka może go karcić, zamykać; nazajutrz mężczyzno-kobieta znajdzie sposób uczepienia się mężczyzny, jak powój zaczepia swoje wąsy tam, gdzie znajdzie łopatę lub grabie. Czemu podziwiając w twarzy tego osobnika subtelności, które nas wzruszają, naturalną słodycz obcą mężczyznom, czemu mielibyśmy rozpaczać, dowiadując się, że ten młody człowiek szuka towarzystwa bokserów? To są różne fizjognomie tej samej rzeczywistości. I nawet ta fizjognomia, która nas odpycha, jest najbardziej wzruszająca, bardziej niż wszystkie delikatności, bo przedstawia cudowny, nieświadomy wysiłek natury: poznanie płci przez nią samą; mimo oszukaństw płci objawia się skryte dążenie, aby się wymknąć ku temu, co początkowy błąd społeczeństwa od niej oddalił. Jedni — ci, co mieli dziecięctwo z pewnością najbardziej nieśmiało — prawie nie troszczą się o materialny

gatunek otrzymywanej rozkoszy, byleby ją mogli skojarzyć z męską twarzą. Inni znówuż, o zmysłach niewątpliwie gorętszych, zdecydowanie lokalizują swoją fizyczną rozkosz. Ci zgorzysiliby może swoimi wyznaniami przeciętny ogół. Żyją może mniej wyłącznie pod znakiem Saturna, bo dla nich kobiety nie są całkowicie wykluczone jak dla tych, dla których nie istniałyby one poza konwersacją, kokieterią, miłością cerebralną. Drudzy za to poszukują kobiet lubiących kobiety; one mogą im dostarczyć młodego człowieka, mogą wzbogacić przyjemność, jaką oni znajdują w jego towarzystwie; co więcej, mogą na ten sam sposób znaleźć u kobiety tę samą rozkosz co u mężczyzny. Stąd pochodzi, że ci, co kochają owych pierwszych, zazdrośni są jedynie o przyjemność, jaką ci mogliby znaleźć z mężczyzną; tylko ta przyjemność wydałaby się im zdradą, skoro nie znają miłości kobiet, praktykowali ją tylko ze zwyczaju i po to, aby sobie zabezpieczyć możliwość małżeństwa, przy czym tak dalece nie wyobrażają sobie rozkoszy, jaką może dać kobieta, iż fakt tej rozkoszy kosztowanej przez ich ukochanego nie może im sprawić bólu; drudzy natomiast często budzą zazdrość przez swoje miłostki z kobietami. Bo w swoich z nimi stosunkach grają oni dla kobiety, mającej pociąg do kobiet, rolę kobiety; równocześnie zaś kobieta daje im w przybliżeniu to, co znajdują w mężczyźnie; tak iż zazdrosny przyjaciel cierpi od myśli, że przedmiot jego ukochania sparzony jest z tą, która jest dlań prawie mężczyzną, a zarazem czuje, że przyjaciel niemal mu się wymyka, bo dla tych kobiet ów mężczyzna jest czymś, czego on sam nie zna — rodzajem kobiety.

Nie mówmy również o młodych urwisach, którzy przez jakieś dzieciństwo, aby podrażnić przyjaciół, zgorzyszyć rodzinę, z osobliwym uporem przybierają strój podobny do sukien kobiecych, różują sobie wargi, podczerniają oczy; pomińmy ich, bo odnajdziemy ich ponoszących zbyt okrutną karę za swoją komedię, całe życie daremnie siłujących się surowym purytańskim wzięciem naprawić szkodę, jaką sobie wyrządzili, pchani przez tego samego demona, jaki popycha młode kobiety z Faubourg Saint-Germain do tego, aby żyć w sposób skandaliczny, aby zdeptać wszystkie formy, okryć hańbą rodzinę aż do dnia, w którym wytrwale i bez powodzenia zaczną się wdrapywać na skarpe, z której tak je bawiło schodzić lub raczej skąd schodziły parę jakąś zagadkową siłą.

Zostawmy wreszcie na później tych, co zawarli pakt z Gomerą. Będziemy mówili o nich wówczas, gdy pan de Charlus ich pozna. Zostawmy wszystkich tych, z tego czy owego gatunku, którzy zjawią się kolejno, i, aby skończyć wstępne rozważania, powiedzmy tylko słowo o tych, o których zaczęliśmy mówić przed chwilą — o samotnikach. Ci, uważając swoją przywarę za bardziej wyjątkową, niż jest, żyli samotnie od dnia, gdy ją odkryli, dźwigając ją wprzód dłużej bez świadomości własnej natury, dłużej jedynie niż inni. Bo nikt nie wie od razu, że jest zbrodźcem lub poetą, lub snobem, lub złym człowiekiem. Niejeden uczeń, poznając wiersze miłosne lub oglądając sprośne obrazki, jeżeli się przytula wówczas do kolegi, wyobraża sobie tylko, że się z nim łączy we wspólnym pragnieniu kobiety. Jakim cudem nie uważałby się za podobnego innym, kiedy istotą tego, czego doznaje, odnajduje czytając panią de La Fayette, Racine'a, Baudelaire'a, Waltera Scotta — wówczas kiedy jeszcze zbyt mało umie obserwować sam siebie, aby zrozumieć to, co przydaje z własnych zasobów, i aby odgadnąć, iż — o ile uczucie jest to samo — przedmiot jest inny, i że istotą, której pożąda, jest Rob Roy, a nie Diana Vernon? U wielu, przez samoobronę instynktu, wyprzedzającą świadomość inteligencji, lustro i ściany ich pokrywają się fotografiami aktorek; tacy fabrykują wiersze w rodzaju:

Chloe to moja jedyna,
Najmilsza moja dziewczyna,
Włosy jej jasne jak len,
Jej miłość czarowny sen.

Czy mamy dlatego szukać w zaraniu tych egzystencji skłonności, których nie odnajdziemy w nich później, niby owych pukli blond u dzieci, mających później wyrósć na ciemnych brunetów? Kto wie, czy fotografie kobiet nie są początkiem obłudy, a także początkiem wstępu do innych zbrodźców?

Ale samotnicy to są właśnie ci, dla których obłuda jest bolesna. Może nawet przykład Żydów, tworzących kolonię odmiennego typu, nie jest dość silny, aby wskazać, jak mało wpływu ma na nich wychowanie i z jaką sztuką umieją wrócić (może nie do czegoś

tak po prostu okrutnego jak samobójstwo, do którego wariaci, wbrew wszelkim ostrożnościom, wracają, i gdy ich wyratować z rzeki, trują się, zdobywają rewolwer itd.), ale do życia, którego ludzie innej rasy nie tylko nie rozumieją, nie wyobrażają sobie, którego niezbędnych rozkoszy nienawidzą, ale którego ciągle niebezpieczeństwo i nieustająca hańba przejęłyby ich w dodatku zgrozą. Aby ich odmalować, trzeba może uprzytomnić sobie, jeżeli nie zwierzęta nie dające się oblaskawić, młode lewki rzekomo oswojone, ale pozostające lwami, to bodaj Murzynów, których mierzi wygodne życie białych i którzy wolą ryzyko dzikiego bytowania i jego niepojęte uciechy.

Kiedy tacy pewnego dnia odkryli, że są niezdolni kłamać drugim i wraz kłamać samym sobie, zagrzebują się na wsi, uciekając przed podobnymi sobie (których uważają za nielicznych) przez wstręt do potworności lub przez obawę pokusy — a przed resztą ludzkości ze wstydu. Nie osiągnąwszy nigdy prawdziwej dojrzałości, popadłszy w melancholię, od czasu do czasu, w jakąś bezksiężycową niedzielę idą przed siebie aż do skrzyżowania dróg, gdzie, nie porozumiewszy się z nimi ani słowem, czeka na nich przyjaciel z dzieciństwa, mieszkający w sąsiednim dworze. I rozpoczynają swoje dawne igraszki na trawie, w nocy, nie wymieniając ani słowa. W ciągu tygodnia odwiedzają się wzajem, rozmawiają o bądź czym, bez żadnej aluzji do tego, co zaszło, zupełnie tak, jakby się nic nie stało i nie miało się stać nadal; jedynie w stosunkach między nimi istnieje trochę chłodu, ironii, podrażnienia i urazy, czasem nienawiści. Potem bywa, iż sąsiad puszcza się w uciążliwą podróż konno, wspina się na mule na szczyty gór, sypia w śniegu; przyjaciel jego, który utożsamia własną przywarę z wåtłością temperamentu, z domatorskim i nieśmiałym życiem, pojmując, iż ta przywara nie zagrzeje już miejsca w wyemancypowanym przyjacielu, o tyle tysięcy metrów nad poziomem morza! I w istocie tamten żeni się. Jednakże ów opuszczony nie odzyskuje zdrowia (mimo wypadków, w których, jak wskażemy, zboczenie jest uleczalne). Co rano sam odbiera w kuchni świeżą śmietankę z rąk młodego mleczarza, wieczorami zaś, kiedy żądze nazbyt go nękają, zdarza mu się pokazać drogę zabląkanemu pijakowi, nawet poprawić bluzę biednemu ślepcowi. Bez wątpienia, życie niektórych zboczeńców zmienia się na oko: przywara ich (jak się to mówi) nie zdradza się w ich obyczajach; ale nic nie ginie; ukryty klejnot odnajduje się. (Kiedy ilość moczu u chorego maleje, to znaczy, że się więcej poci, ale wydzielanie musi się odbywać.) Jednego dnia ów homoseksualista traci młodego krewniaka i z jego niepokieszonego bólu zgadujecie, że to w tę miłość, czystą może i bardziej dbałą o zachowanie szacunku niż dążącą do posiadania, przeszły jego pragnienia — w drodze „przelewu”, tak jak w budzecie, nie zmieniając całkowitej sumy, daje się niektórym wydatkom inne przeznaczenie. I jak u owych chorych, u których atak pokrzywki na jakiś czas usuwa zwykle ich dolegliwości, czysta miłość do młodego krewniaka zastąpiła niejako czasowo u zboczeńca, przez metastazę, nawyki, które prędzej lub później odzyskują miejsce zastępczej i uleczonej choroby.

Wśród tego żonaty sąsiad samotnika wrócił; wobec piękności młodej małżonki oraz czułości, jaką jej okazuje mąż, przyjaciel — w dniu, gdy ich musi zaprosić na obiad — wstydzili się przeszłości. Młoda żona, już w poważnym stanie, musi wrócić wcześniej, zostawiając męża; kiedy nadeszła godzina powrotu, ów prosi przyjaciela, aby go odprowadził kawałek. Nie podejrzewa absolutnie nic, gdy nagle, na skrzyżowaniu dróg, znajduje się na trawie, bez słowa obalony przez alpinistę, mającego zostać ojcem. I znów zaczynają się schadzki aż do dnia, gdy niedaleko zamieszka kuzyn młodej żony, z którym teraz przechadza się stale mąż. I jeżeli opuszczony przyjaciel zachodzi wieczorem i stara się doń zbliżyć, ów, wściekły, odpycha go, oburzony, iż tamten nie ma na tyle taktu, aby odgadnąć wstręt, jaki budzi teraz. Raz jeden zgłasza się jakiś nieznajomy, posłany przez niewiernego sąsiada; ale wzgardzony przyjaciel, zbyt zajęty w danym momencie, nie może przyjąć obcego i dopiero później odgaduje, w jakim celu ów obcy przyszedł.

Wówczas odludek usycha sam. Nie ma innej rozrywki, jak chodzić na stację sąsiedniego kąpieliska, aby prosić o informacje pewnego urzędnika kolejowego. Ale ten dostał awans, przeniesiono go na drugi koniec Francji; samotnik nie będzie mógł już chodzić pytać go o godziny pociągów, o cenę biletu pierwszej klasy; zanim wróci marzyć w swojej wieży, jak Gryzelda, zasiaduje się na plaży, niby jakaś dziwna Andromeda, której nie przyjdzie oswobodzić żaden Argonauta; niby jałowa meduza, która zginie na piasku. Albo tkwi leniwo przed odejściem pociągu na peronie, obejmuje tłum podróżnych spojrze-

niem, które osobnikom innej rasy wyda się obojętne, wzdurliwe lub roztargnione, ale które niby świetlny blask, jakim się stroją pewne owady, aby zwabić owady tego samego gatunku, lub jak nektar produkowany przez pewne kwiaty, by ściągnąć owady mające je zapłodnić, nie oszukałoby niepodobnego niemal do znalezienia amatora zbyt specjalnej, zbyt trudnej do ulokowania rozkoszy, którą mu proponują; kolegi po fachu, z którym nasz specjalista mógłby mówić rzadkim językiem; co najwyżej jakiś włóczęga na ulicy uda, że się nim interesuje, ale tylko dla materialnej korzyści jak ci, co w Collège de France, w sali, gdzie profesor sanskrytu wyklada w próżnię, zachodzą na wykład, ale tylko po to, aby się ogrzać.

Meduza! Orchidea! Kiedym szedł tylko za swoim instynktem, meduza brzydziła mnie w Balbec; ale kiedym umiał na nią spojrzeć jak Michelet z punktu nauk przyrodniczych i estetyki, widziałem rozkoszny lazurowy żyrandol. Czyż one nie są, z tym przezroczystym aksamitem swoich płatków, niby liliowe orchidee morza? Jak tyle istot zwierzęcego i roślinnego królestwa, jak roślina, która produkowałaby wanilię, ale która, dlatego że organ męski oddzielony jest w niej cienką ścianką od organu żeńskiego, pozostaje jałowa (o ile kolibry lub pewne pszczołki nie przeniosą pyłku z jednego kwiatu na drugi lub o ile człowiek nie zapłodni ich sztucznie), tak pan de Charlus (a tutaj słowo „zapłodnienie” trzeba brać w sensie moralnym, skoro w sensie fizycznym połączenie samca z samcem jest jałowe; ale nie jest obojętne, aby dany osobnik mógł znaleźć jedyną rozkosz, do jakiej kosztowania jest zdolny, i aby „na tym padole” wszelka istota mogła użyć komuś „swojej melodii, swego płomienia lub swego zapachu”), pan de Charlus był z owych mężczyzn, których można nazywać wyjątkowymi, ponieważ, choćby byli bardzo liczni, zadowolenie ich potrzeb płciowych — tak łatwe u innych ludzi — zależy od zbiegu zbyt wielu i zbyt trudnych do spotkania warunków. Dla ludzi takich jak pan de Charlus — z uwzględnieniem kompromisów, które okażą się stopniowo i które już można było przeczuć, kompromisów narzucanych przez potrzebę rozkoszy godzącą się na połowiczne przyzwolenie — miłość wzajemna, do trudności tak wielkich, czasem niezwykłych, z jakimi się spotyka u ogółu istot, przydaje trudności tak specjalne, że to, co jest zawsze bardzo rzadkie dla wszystkich, staje się u tych ludzi prawie niemożliwe; jeżeli zaś się im zdarzy spotkanie naprawdę szczęśliwe lub które natura ukaże im jako takie, szczęście ich, o wiele bardziej jeszcze niż szczęście normalnego kochanka, ma coś nadzwyczajnego, wybranego, głęboko koniecznego. Nienawiść Kapuletów i Montekich była niczym wobec wszelkiego rodzaju przeszkód, jakie trzeba było zwyciężyć, specjalnych eliminacji, jakim natura musiała poddać dość już niezwykle przypadki sprowadzające miłość, zanim eks-krawiec, wybierający się cnotliwie do biura, zachwiał się, olśniony, wobec otyłego pięćdziesięcioletka; taki Romeo i taka Julia słusznie mogą mniemać, że ich miłość nie jest kaprysem chwili, ale prawdziwym przeznaczeniem przygotowanym przez harmonię ich natur, nie tylko ich własnych, ale także natur ich przodków, przez najodleglejsze dziedziczości, tak że istota, która się parzy z nimi, należy do nich przed urodzeniem, ściągnęła ich siłą podobną sile poruszającej światy, w których spędziliśmy poprzednie nasze żywoty.

Pan de Charlus oderwał mnie od śledzenia, czy bąk przyniósł orchidei pyłek, którego oczekiwała od tak dawna, a który miała szanse uzyskać jedynie dzięki przypadkowi tak nieprawdopodobnemu, że można by go nazwać rodzajem cudu. Ale to, czego byłem świadkiem, to także był cud, sprawiony przez tego samego niemal geniusza i nie mniej cudowny. Z chwilą gdy spojrział na owo spotkanie z tego punktu widzenia, wszystko mi się w nim wydawało nasycone pięknem. Natura wymyśliła najniezwyklejsze chytryści, aby zmusić owady do zapładniania kwiatów, które bez nich byłoby niemożliwe, gdyż kwiat męski zbyt jest odległy od żeńskiego; jeśli to wiatr ma zapewnić przeniesienie pyłku, natura czyni ów pyłek o wiele łatwiejszym do odczepienia od męskiego kwiatu, o wiele łatwiejszym do pochwylenia w locie przez kwiat żeński; natura usuwa wydzielanie nektaru (zbyteczne, kiedy już nie potrzeba wabić owadów), a nawet blask płatków, które je nęca; aby zachować kwiat dla właściwego pyłku, zdolnego wydać owoc jedynie z nim, każe mu wydzielacz ciecz uodporniającą go na inne pyłki; ale wszystko to wydało mi się nie bardziej cudowne niż istnienie grupy zboczeńców przeznaczonych dla rozkoszy starzejącego się zboczeńca; mężczyzn, których przyciągają nie wszyscy mężczyźni, ale — przez fenomen zgodności i harmonii, dający się porównać z tym, który reguluje zapłodnienie

u kwiatów o szyjkach trójdzielnych jak *Lythrum salicaria* — jedynie mężczyźni o wiele starsi od nich. Przykładem tej grupy stał się dla mnie Jupien; przykładem zresztą mniej zdumiewającym od innych, które wszelki herborysta ludzki, wszelki botanik moralny zdoła zaobserwować mimo ich rzadkości, a których im nastęrczy wiotki efeb, wyczekujący zalotów krzepkiego i otylego pięćdziesięciolatka, równie obojętny na zaloty innych młodych ludzi, jak jałowymi pozostają obupłciowe krótkoszyjkowe kwiaty *Primula veris*, dopóki je zapładniają jedynie inne *Primula veris* również krótkoszyjkowe, podczas gdy z radością przyjmują pyłek *Primula veris* o długiej szyjce.

Co do samego pana de Charlus zdałem sobie sprawę w dalszym ciągu, że dla niego istnieją rozmaite rodzaje skojarzenia. Niektóre przez swoją mnogość, przez swoją ledwie widoczną błyskawiczność, a zwłaszcza przez brak styczności pomiędzy dwoma uczestnikami bardziej jeszcze przypominały owe kwiaty zapłodnione gdzieś w ogrodzie przez pyłek sąsiedniego kwiatu, którego nie dotkną nigdy. Były w istocie niektóre istoty, które wystarczyło mu ściągnąć do siebie, trzymać je przez kilka godzin pod władzą swojego słowa, iżby jego pragnienie, obudzone jakimś spotkaniem, uśmierzyło się. Za pomocą prostych słów sparzenie dokonywało się równie po prostu, jak się może spełniać u wymoczków. Czasami, jak mu się to z pewnością zdarzyło ze mną owego wieczoru, kiedy mnie wezwał do siebie po obiedzie u państwa de Guermentes, zaspokojenie nastąpiło dzięki gwałtownemu wybuchowi, jakim baron bryznął w twarz swego gościa, jak niektóre kwiaty, dzięki specjalnej sprężynce, skraplają na odległość owada, czyniąc go nieświadomie swoim zdumionym partnerem. Pan de Charlus, z owładniętego stawszy się władcą uwalniał się od swego wyruszenia i, uspokojony, odprawiał gościa, który natychmiast przestał mu być pożądanym. Wreszcie sama inwersja, ponieważ pochodzi stąd, że zboczeniec zbyt podobny jest do kobiety, aby z nią mógł wejść w skuteczne stosunki, wiąże się przez to z najwyższym prawem, sprawiającym, że tyle obupłciowych kwiatów pozostaje niezapłodnionych — to znaczy z jałowością samozapłodnienia. Prawda, iż zboczeńcy poszukujący samca zadowolają się często zboczeńcem równie zniewieściałym jak oni. Ale wystarczy, że nie należą do płci żeńskiej, której oni mają w sobie bezpożytecznego embriona, co się zdarza tylu obupłciowym kwiatom, a nawet niektórym obupłciowym zwierzętom — jak na przykład ślimak — które nie mogą zapłodnić się same, ale mogą być zapłodnione przez innych obojnaków. Przez to pederasty, którzy się radzi powołują na starożytny Wschód lub na złoty wiek Grecji, sięgaliby dalej jeszcze, owych próbnym epok, gdy nie istniały ani kwiaty rozdzielnopłciowe, ani zwierzęta jednopłciowe, do tego pierwotnego obojnectwa, którego ślad zdają się przechowywać szczątki męskich organów w budowie kobiety, a żeńskich w budowie mężczyzny.

Mimika Jupiena i pana de Charlus, zrazu dla mnie niezrozumiała, wydała mi się równie ciekawa jak owe kuszące gesty zwracane do owadów, wedle Darwina, nie tylko przez kwiaty tak zwane złożone, wznoszące obrzeżne kwiaty swoich główek, iżby były widzialne z dalsza, jak pewien kwiat różnoszyjkowy, który odchyła pręciki i zgina je, aby utorować drogę owadom, lub który ofiarowuje im kąpiel; po prostu do zapachów nektaru, do blasku płatków ściągających w tej chwili owady w dziedziniec.

Począwszy od tego dnia pan de Charlus miał zmienić godzinę swoich wizyt u pani de Villeparisis; nie dlatego, aby nie mógł wygodniej widywać Jupiena gdzie indziej, ale ponieważ dla niego — jak i dla mnie — popołudniowe słońce i kwiaty związały się z pewnością z jego wspomnieniem. Zresztą baron nie ograniczył się do tego, że polecił Jupienów pani de Villeparisis, księżnej de Guermentes, całej świetnej klienteli, która popędziła skwapliwie do młodej hafciarki, zwłaszcza iż damy, które się opierały lub bodaj ociagały, stały się przedmiotem straszliwych represji barona bądź dla przykładu, bądź że obudziły wściekłość pana de Charlus, przeciwstawiając się jego żądzy panowania. Baron uczynił posadę Jupiena coraz bardziej lukratywną, aż go wziął ostatecznie za sekretarza i stworzył mu byt w warunkach, które poznamy później.

— Ha! ha! Ten ci ma szczęście, ten Jupien — mówiła Franciszka, zawsze skłonna pomniejszać lub przeceniać dobrodziejstwa wedle tego, czy tyczyły jej samej, czy innych. Zresztą nie potrzebowała tutaj przesady ani nie czuła zazdrości, bo Franciszka szczerze lubiła Jupiena. — Ha! To taki dobry człowiek ten baron — dodawała — taki grzeczny, taki nabożny, taki przyzwoity. Gdybym miała córkę do wzięcia i gdybym była z bogaczy, dałabym ją baronowi z zamkniętymi oczami.

— Ale, Franciszko — mówiła łagodnie matka — dużo mężów miałaby ta córka. Pamiętaj, że już ją przyrzekłaś Jupienowi.

— A! To także człowiek, który dałby szczęście kobiecie. Tak, tak, choć są na świecie bogacze i biedacy, to nie zmienia natury w człowieku. Baron i Jupien to ten sam rodzaj ludzi.

Zresztą, w obliczu owego pierwszego odkrycia, bardzo wówczas przesadziłem indywidualny charakter tak dobranej sparzenia. Zapewne, każdy z mężczyzn podobnych panu de Charlus jest istotą nadzwyczajną, skoro, o ile nie robi ustępstw wymaganiom życia, szuka zasadniczo miłości mężczyzny z innej rasy, to znaczy mężczyzny lubiącego kobiety (i który tym samym nie będzie go mógł pokochać); wbrew temu, co sądziłem w dzieźni, kiedy widział Jupiena kręcącego się koło pana de Charlus na kształt orchidei robiącej awanse bąkowi, owych wyjątkowych istot, nad którymi się ubolewa, jest mnóstwo, jak się okaże w ciągu tego dzieła, z racji, którą odsłonimy aż na końcu. Oni sami skarżą się raczej na nadmiar niż na niedostatek podobnych sobie. Bo dwaj aniołowie, których umieszczono u bram Sodomy dla sprawdzenia, czy mieszkańcy — powiada Genesis — w pełni uczynili wszystkie te rzeczy, których krzyk wzbił się aż do Przedwiecznego, byli, z czego się tylko można ucieszyć, bardzo źle wybrani przez Pana, który powinien był to zadanie powierzyć jedynie sodomicie. Ten by nie opuścił płomiennego miecza ani nie złagodził kary wobec wymówki: „Jestem ojcem sześciorga dzieci, mam dwie kochanki” itd., ale odpowiedziałby na to: „Tak, ale żona twoja cierpi męki zazdrości. Ale nawet jeżeli tych kobiet nie wybrałeś w Gomorze, spędzasz noce z pastuchem z Hebronu”. I zawróciłby go natychmiast do miasta, które miał zniszczyć deszczem ognia i siarki. Przeciwnie, pozwolono uciec wszystkim wstydlivym sodomitom, nawet gdy na widok młodego chłopca odwracali głowę jak żona Lota, nie zmieniając się dlatego w słup soli. Tak iż mieli liczne potomstwo, w którym ten gest pozostał nałogowy, podobny do gestu rozwiązłych kobiet, które — udając, że patrzą na buciki wystawione za szybą — zerkają w stronę jakiegoś studenta. Ci potomkowie sodomitów — tak liczni, że można do nich zastosować inny werset Księgi Rodzaju: „Jeżeli ktoś potrafi zliczyć proch ziem, i potrafi też zliczyć to potomstwo” — osiedlili się po całej ziemi, weszli do wszystkich zawodów i wcisnęli się tak skutecznie do najbardziej zamkniętych klubów, że — kiedy sodomitę zbalotują — czarne gałki pochodzą przeważnie od sodomitów, ale takich, co gorliwie potępiają sodomie, jako że odziedziczyli kłamstwo, które pozwoliło ich przodkom opuścić to przeklęte miasto. Możliwe jest, że wrócą do niego kiedyś. To fakt, że tworzą we wszystkich krajach trącającą Wschodem kolonię — kulturalną, muzykalną, plotkarską — mającą urocze przymioty i nieznośne wady. Poznamy ich nieco głębiej w dalszych kartach tego dzieła, ale chcieliśmy prowizorycznie uprzedzić oplakany błąd, który polegałby na tym, aby, tak samo jak wzniecono ruch syjonistyczny, stworzyć ruch sodomicki i odbudować Sodomę. Otóż, zaledwie tam przybywszy, sodomici opuściliby miasto, aby nie uchodzić za jego mieszkańców, poženiliby się, trzymaliby sobie kochanki w innych miastach, gdzie by zresztą znaleźli wszystkie pożądane rozrywki. Udawaliby się do Sodomy jedynie w dniach ostatecznej konieczności, kiedy ich miasto byłoby puste, w owych czasach, kiedy głód wypędza wilki z boru, to znaczy, że wszystko działałoby się w rezultacie tak, jak się dzieje w Londynie, w Berlinie, w Rzymie, w Petersburgu lub w Paryżu.

W każdym razie, tego dnia, przed swoją wizytą u księżnej, nie patrzyłem tak daleko i byłem w rozpacz, że, pochłonięty sparzeniem się Jupiena z Charlusem, straciłem może widok zapłodnienia kwiatu przez bąka.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sodoma-i-gomora-czesc-pierwsza>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, Sodoma i Gomora, część pierwsza*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Milena Dyńska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: John Fowler@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0709-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).